Ner 30. Kraków, 29go Lipca. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Miłość własna i miłość bliźniego.

Pierwsza jest płonką, na której należy zaszczepić drugę, aby drzewo wydawało szlachetne owoce. Skoro tak jest, należy się naprzód starać o zdrową płonkę, bo ze zbolałej niedoczekać się zdrowego szczepu. Niema człowieka bez miłości własnej, i nie podobna, aby takim był który, nie będąc istnym kamieniem, nie mającym ani czucia, ani życia żadnego. Dlatego nienależy wytępiać w dzieciach miłości własnej, bo to się udać nie może; ale należy w nich tę miłość własną zdrowo rozwijać, chować (edukować) wedle skazówek natury.

Kto dziecię i jego miłość własną, bez której nigdyby nie mogło ani być, ani stać się osobą, pragnie zdrowo wychować, nie będzie po niem żądał ani niewczesnego i niepotrzebnego zaparcia się, coby było tyraństwem; ani nie dopuści, aby się w niem miłość własna rozbujała. Objaśnimy to przykładami:

Ktoby dziecięciu niedawał ani dostatecznego pokarmu, ani dostatecznego napoju, a wymagał po niem, aby spokojnie przypatrywało się jedzącym i pijącym do sytości, nawet do zbytku. . . ktoby nadto wymagał po dziecięciu, ażeby tem, co mu dano poniżej potrzeby, dzieliło się z drugimi, byłby tyranem i nietylko, że nie wytępił ani przygłuszyłby w dziecięciu miłości własnej; lecz owszem wzmógłby ją, i to w najszkodliwszym kierunku, bo w kierunku zazdrości, nienawiści, a podobno i zemsty. Cóżby pomogło zaszczepienie późniejsze najszlachetniejszej latorośli na takiej płonce? Poco prawić temu o miłości bliźniego, którego bliźni, ba najbliźniejsi: bo ojciec, matka, wychowawcy, w pierwszych latach życia przygniatali?

Gdyby zaś kto dawał dziecięciu jeść i pić aż do zbytku tak, że zawszeby mu jeszcze jadła i napoju (mleka) zostawało, i cierpiał, aby dziecię nawet wśród zbytku skąpem było, ten znowu w innym rodzaju wychowałby chorą płonkę, która musiałaby uschnąć od nadmiaru soków.

Jakże więc w danym razie postąpić? Oto należy zachować ścisłą miarę i to tak, aby dziecię ani czuć nie mogło, co za mało, a co za wiele.

Niechwalę tego, gdy dozwalają dzieciom przypatrywania się zbytkom starszych, choćby te zbytki były tylko względne co do dzieci.

Dzieci powinny jadać osobno, nietylko przy osobnym stoliczku, ale i w innej porze, lub w innej izbie. Tego nie dosyć. Gdy się dzieciom daje w miarę, czego ich pierwsza potrzeba wymaga (a nad tę nigdy im niczego nie należy dawać), można od nich żądać, czego chiński prawodawca żąda od wszystkich, mówiąc: gdy jesz, daj i psu. Nie żądałbym nigdy po dziecku, które, dopiero co z niemowlęctwa wyszedłszy, władz rozumowych słabo używa, a rozsądku wcale jeszcze mieć nie może, aby tem, czego ma w miarę, dzieliło się z dziecięciem ubogiem; mogłoby się bowiem, zamiast litości, nauczyć pogardy, i znowu byłaby z niego chorowita płonka. Lecz z tego, czego ma w miarę, może dać troszeczkę mleka kotkowi, albo kawałątko mięsa i chleba pieskowi.

Ale dajmy tutaj temu pokój, a powiedzmy słówko o *miłości bliźniego.*

Miłość bliźniego przykazał nam Zbawiciel świata, który wszakże, znając naturę człowieka, nie wyrzekł: kochaj bliźniego nad siebie; ale wyrzekł: kochaj bliźniego, jak siebie samego.

Zaś miłość bliźniego zasadza się na tem samem, na czem się zasadza miłość własna, t. j. zasadza się jedna i druga w sferze niższej na potrzebie ludzkiej natury, a w sferze wyższej na miłości Boga. Przykazał nam więc dla tego Chrystus Pan, abyśmy Boga miłowali nadewszystko. — Kto Boga nie kocha nadewszystko, ten nigdy siebie i nigdy bliźniego szlachetnie nie pokocha: bo mu nie będzie chodziło o duchowe wydoskonalenie siebie samego i bliźniego. — O miłości Boga, duchowem doskonaleniu siebie samego i bliźnich, pomówimy później.

O KOBIETACH.

(Rozprawa przez Kobietę),

(Ciąg dalszy).

Czy oprócz tego, że kobieta przeznaczona na matkę, i tę konieczność wypełnia tak w stanie dzikości, jak na łonie cywilizacyi towarzyskiej, czy oprócz tego, pytam, widoczne jej się odróżnienie charakterem od mężczyzny, jest skutkiem jej samoistności; czy zaś ogólnej oświaty, stopniującej się aż do tego punktu, na którym w zwierciedle estetyczności odbija się płeć oboja, niby ludzie dosięgający zenitu swego wielkiego przeznaczenia? Myliłby się, ktoby rozumiał, że samoistność kobiety przeważyła kiedy ogółowo samoistność mężczyzny; lub własną siłą, czyli popędem instynktowym, odróżniła się od niego w czasie, gdy tenże sam o sobie niewnioskował nic więcej od otaczających go zwierząt, gdy lękał się żywiołów jako swych panów, to jest bogów; gdy sama drapieżność zwierzów skłaniała jego niemowlęcość rozumową, ażeby ich błagał ofiarami, czcią, dla uchronienia swej osoby od ich

wściekłej napaści. Tak poniżony umysłowo, mógłże zgłębiać oddzielną naturę swojej towarzyszki? lub sama kobieta mogłaż poczuć swoje delikatniejsze usposobienie co do ciała i duszy, gdy wspólna ustawiczna walka w obronie życia tłumiła myśl, a zahartowanie sił organicznych na życiu twardem, koczującem, zatarło wszelką różnicę między nią a mężczyzną, aż po płciową? Lecz, kiedy mężczyzna przez wieki rozpatrzył się w sobie, uznał przez rozum wyższość nad wszystkiem co go otaczało, gdy... już niejako pan całej widomej natury, podbijał żywioły, uzbroił się przeciw drapieżności zwierząt, a inne oswoił: wtenczas w nieograniczoności swej władzy podbił także i kobietę, to siłą podejścia, czyli wmawianiem w nią odrębnych uczuć i skłonności, to siłą despotyzmu o ile go uważał dogodnym dla niepowściągnionych swoich namiętności, jak to jeszcze do dziś dnia widocznie okazuje się na wschodzie. Odróżnienie to bezwątpienia ślimaczym musiało postępować krokiem, bo niemasz tak upośledzonej istoty, któraby odrazu i chętnie z wolności osobistej mogła przejść pod jarzmo. Środki łagodności i okrucieństwa naprzemian działały stanowczo dopóty, dopóki kobieta niepoddała się zupełnie. Poddaństwo jej jednakże niebyło ogólne, tylko częstokroć stósownie do państw, i ich praw cywilnych i religijnych. My zaś w chrześciańskiej, oświeconej Europie zupełnie jestesmy wolnemi, odwieczne tylko przesądy kładą na nas więzy duchowe, które leniwe w myśleniu kobiety całują, ponieważ dla nich są bardzo dogodne. Pokolenia słowiańskie, a szczególnie naród polski, od innych miany za barbarzyński, o wiele jasnym rozumem i sprawiedliwością przewyższał inne narody. Kobietę u Sarmatów pojmowano wzniośle, była zupełnie wolną, i tylko... zostawszy żoną, pewien szacunek mężowi okazywała, całując go w rękę, ale to zapewne na znak chrześciańskiego posłuszeństwa; lecz za to nienapotykamy nigdzie przykładów w naszych dziejach, aby jej czci uwłaczano, owszem wszystko czyniono dla przypodobania się niewieście. Niewięziono jej w zamkach, gdy mąż udał się na wojnę, jak to czynili Germanie, Hiszpanie, Włochy; zostawała w zupełnej wolności do powrotu męża, gdyż ten bezpiecznie polegał na jej charakterze. Że kobietom odmawiano wychowania umysłowego, niedziw, kiedy w niem dopiero i męzka płeć początkowała. Lecz, jakże nieskończenie różni się dzisiejsza niby oświecona kobieta od owej dawnej prostaczki, która zaledwie umiejąc przeczytać drukowaną książkę, przecież zostawiła po sobie pamięć wielce wspaniałą: ona—narodowo i religijnie pojmując siebie, męża i społeczność—wylewała się na wszystkie cnoty ludzkości, jakie tylko były w jej mocy. Nieznając z książek sentymentalności romansowej, nie znając elegancyi francuskiej, wznieść się pragnęła nad inne, nie czczemi pozorami; ale tem wszystkiem, co przed obliczem Boga i ludzi było pięknem, szlachetnem i wielkiem. Niewiasty nasze, które kościół uznał za święte, niebyły to czcze pietystki, modlące się tylko od rana do nocy, a nie spełniające czynów chrześciańskiego poświęcenia; one najwznioślejsze dusze oddychały miłością bliźniego. One—najprzód walcząc z próżnością i zbytkiem, gdy te ograniczyły do tego już stopnia, że im ani wykwintnem jadłem, ani strojnem odzieniem dogadzać niewidziały potrzeby—zrzekały się dóbr ziemskich, dzieląc je między ubogich; fundowały klasztory i kościoły stósownie do opinii wieku, z których dzisiaj mamy instututa dla ubogich panienek, słowem, stósownie do swego czasu działały wielce spaniale. Dzisiejsza kobieta, z całą swoją świetną edukacyą zewnętrzną, jest trupem bez życia i czynu, bo jej całe wychowanie zasadza się nie na gruntownej mądrości, której córkami są cnota i miłość; lecz na talentach, dających jej wdzięk zewnętrzny, bezduszny, co niżej zobaczymy.

III.

Charakter teraźniejszej kobiety.

Gdzie nieoznaczono jakim kto być powinien, lub wbrew jego usposobieniu zawyrokowano, tam wieczny bezład wiary i powątpiewań, wahania się w tę i ową stronę, zgoła tam niemasz żadnego wzniosłego charakteru. W takiem położeniu zostaje obecnie kobieta, chociaż to kobieta całkiem nowa, odrodzona, kobieta-człowiek według zbawiennych zasad religii chrześciańskiej. W chwilach, gdy ta boska wiara entuzyastycznie zajmowała najdzielniejsze umysły, wahano się się przypuścić kobietę do jej wszystkich tajemnic(?); lecz, kiedy spowszedniała w obliczu chciwych nowości półmędrków, czyli raczej wzgardzoną została od szczegółów mężczyzn cielesnych, światowych, charakter (?) jej w ogólności dostał się wszystkim kobietom w udziale, wszakże zawyrokowano już tylekrotnie: wiara dla kobiet, mężczyzna w samym sobie znajduje wszystko, i obejdzie się bez wiary! Było i jest dotychczas, że kobieta, niemogąc dosięgnąć właściwego sobie charakteru, przybrała z chlubą dla siebie charakter religijny, o ile ten nie czyni jej zarozumiałą, fanatyczką, lub hipokrytką. Jednakże i tu jest ona zamaskowaną i po większej części samej sobie niepojętą, to jest albo poświęca się wierze z całą surowością ascetycznie i kontemplacyjnie; albo w zakresie modłów uwięzła i niża różańce, ograniczając na nich czyny miłości, które są głównem, najświętszem znamieniem religii. Ileż to prawdziwych śmieszności niezdarzyło mi się widzieć, a ile ich jeszcze oglądam—i obawiać się muszę wywrócenia z gruntu najczystszych zasad.

Czyli to dowodzi niedostatku umysłowego w kobiecie? nie, bynajmniej, skutki te u kobiet, często szkodliwe dla społeczności, nie co innego spowodowało, lecz brak wychowania, gdyż to, które kobieta odbiera, jeśli je odbiera, zawsze bywa pośledniejszem nawet ze strony moralnej, z powodu, iż same matki, nieprzyuczone do głębszego i jaśniejszego myślenia, zadawalają się już samą ukształconą powierzchownością swych córek, nietroszcząc się bynajmniej o rozwinięcie umysłu na wyższych przedmiotach, z których same gotowe szydzić dlatego, że dla nich są niedostatecznemi.

Drugą przyczyną niedostatecznego wychowania jest to: że mężczyźni, mając często udział w edukacyi młodych panien, już z dwunastoletnią obchodzą się pretensyjnie, rozumiejąc mylnie, że kobieta samodzielnie się kształci, żadnym nie ulegając wpływom.

Takie uchybienie płci kobiecej, czyli raczej jej opuszczenie, możesz w niej zrodzić charakter pewny, stały, niezmienny, nieodzownie i tyle potrzebny jej samej, i ile pokoleniu, które ona wychowa? A czemże bez charakteru kobiety będzie dom, rodzina, małżonek jej, dzieci, a nawet ojczyzna?!

(C. d. n.)

DWIE DZIEWCZYNY.

Na wzgórku kwiecistym,
Pod niebem przejrzystem,
Raniutko do słonka,
Przy piosnce skowronka,

Dwie róże dziewczyny:
Córeczka hrabiny,
Córeczka Macieja,
Chłopa - kołodzieja,
W anielskim uśmiechu
Szeptały po cichu,
I młode swe rączki,
Jak ślubne obrączki,
Koło szyj obwiły,
I... jak niemowlęta,
W kołysce dziecięta,
Ustkami spojone,
Sercami zbliżone...
Czule się pieściły.
Ręka chłopskiej córki,
Jak żółte paciórki,
Od słońca spalone,
Na śniegu złożone,
Była pręgą szyje
Białej, jak lilije;
A ręka hrabianki
Z atłasowej tkanki...
Jak z pereł kolije,
Cisła smagłą szyję.

Wietrzyk, jak kwiatkami,
Wiewał ich szatami:
Jedwabiem hrabianki,
Płócienkiem chłopianki,
Puklami płowemi,
Warkoczmi czarnemi...
I łączył sukienki
Chłopianki, panienki,
I zarzucał włosy,
Czarne, jak noc, kosy,
Na wiszące płowe
Zwoje bursztynowe.

A oczy ich, oczy
W wodnistej przejźroczy
Błękitne i ciemne...
Jak gwiazdy przyjemne,
Tak w siebie patrzyły,
Że piękne jagody...
Jak w źródełku wody,
W tej i w tej źrenicy,
W najczystszej krynicy,
Wzajemnie odbiły.

Co ustka szeptały,
Czem serca pałały...
To wietrzył rozgłosił,
W wioski poroznosił:

Że panna Malwina,
Że Zosia dziewczyna
Na ojców swych ziemi
Siostrzaństwo zerwane,
Ciemnotą zdeptane
Złączyły sercami,
Spoiły ustami
Pomiędzy wszystkiemi
Chatami, dworami,
Braćmi i siostrami;
Że niechęć, urazy,
Dawne wszystkie skazy,
(By ócz nieraziły),
Łzami już pokryły.

Co w wioskach radości,
A po dworach gości!
W sukmanach, żupanach,
W gorsetach, kaftanach.
Młódź w pląsach wywija,
Młódź, grzeczna, dorodna;
Starszyzna miód spija
I radzi swobodna.
I Polska — od kmiecia,
Gdzie żyła stólecia
W dziecinnej prostocie,
W ojców wierze, cnocie —
Przyszła w braci dwory:
Dać serce, brać miłość...
Pałace, wsie, bory
Napełnia szczęśliwość.

Gdzie nuda mieszkała,
Pełno swoich, gwarno;
Z sercami się garną
(Chwałaż Bogu, chwała!)
Komotrzy, sąsiedzi,
Ucznie, uczennice;
Państwo w dworze siedzi,
Niema zagranice!...

A Zosia z Malwiną,
Szlachcianka z dziewczyną,
Przyjemnie czas trawią,
I uczą i bawią...
A co jeszcze leży
W ich młodych serduszkach,
To starszym, młodzieży
Sam wietrzyk opowie:
Bo wkrótce... w wianuszkach
Zielonych na głowie,
Z jednej panna młoda,
Z drugiej drużka będzie,

I ręce łabędzie
Smagłym rękom poda;
Za niemi drużbowie,
Matki i ojcowie,
Przez dzieci swych miłość...
Na przyszłą szczęśliwość
Splotą swe ramiona,
I z ich uczuć łona
Wyjdzie głos ostatni:
Wolność, związek bratni.

A na wzgórku stanie
Z modrzewia kaplica,
W niej polska dziewica
Przypomni zbratanie
Dzieci rozdzielonych:
Braci, sióstr rodzonych,
Żeby pokolenie,
Wpadając w zawiłość,
W miłości, przez miłość
Znało swe zbawienie.

D. 9go lipca 1862 r.

** L.

Panna Natalia.

Wychowanie jest jedynym niezawodnym pewnikiem przyszłości rodzin, społeczeństwa i narodów.

W pewnym domu stołecznego miasta, w mieszkaniu emeryta pana Jana L., byłego profesora gimnazyalnego, niezwykły lecz spokojny ruch objawiał ubytek z niego osoby, tworzącej przedtem harmonijną całość mieszkającej w nim rodziny. Panienka, licząca lat 16, brunetka małego wzrostu, kształtnej kibici, choć twarzy wcale na pierwsze wejrzenie niezajmującej, bo śniadej i nie o klasycznych rysach, jednak oczu pięknych i łagodnie wyrazistych, włosów także czarnych jak heban, uczesanych i wygładzonych starannie; ta panienka w skromnej, perkalikowej sukience, obciśniętej w stanie czarnym paskiem, krzątała się po obszernym pokoju, ładując w skórzany kuferek kilkadziesiąt książek, porządnie w tekturę i czarny perkal oprawnych. Żona emeryta p. Jana L., osoba koło 60 lat licząca, w świeżej rannej bieliźnie, czerstwo i przyjemnie wyglądająca, pomagała owej panience w zbieraniu rzeczy, t. j. sukienek, bielizny i różnych drobiazgów, które podając jej do ułożenia w drugi obszerny kufer, za każdą razą oddawała jej pieszczoty macierzyńskie, całując z rozczuleniem w czoło, oba policzki, w głowę i szyję, i wzajem ciche a rzewne od dziewczyny odbierała pocałowania i uściski. Pani Janowa L. nie była jednakże jej matką, ani nawet jej krewną, bowiem panienka którę my Natalią nazywać będziemy, sierota z zamożnego domu, w skutek rozporządzenia testamentowego swego ojca, pana Bolskiego, nie chowała się u macochy, która mało w własnym kraju przemieszkiwała, lecz pod dozór i opiekę państwa Janów L. oddana, lat 6 zostawała u nich, pobierając edukacyę początkowo w klasztorze, póżniej na pensyi, a zresztą kształcąc się w domu, to w muzyce, to w robotach kobiecych i praktycznem domowem gospodarstwie, chociaż tylko na małą stopę; a lubo mało czasu jej zbywało do tej nauki, jednakże zawsze go miała dosyć, aby się przyjrzeć gotowaniu potraw i pieczeniu ciast. To prozaiczne a niższego rzędu zatrudnienie nie rozpościerało się, niby zielsko pasożytne, w umysłowym ogródku tych pięknych moralnych kwiatów, które, będąc jeszcze zbyt wątłe w wschodzącej wiośnie życia, łatwo zniszczeniu uledzby mogły pod wpływem jednostronnego, li samego materyalnego kierunku. Praktyczne wiadomości gospodarskie, chociaż niezbędne, zawsze atoli, obok edukacyi wyższej umysłowej, zostaną zakulisowemi, drobiazgowemi zajęciami, których znaczenie sam Zbawca oznaczył, mówiąc do dwóch sióstr: „Marto troszczysz się o wiele, gdy jednego tylko do zbawienia potrzeba; Marya lepszą sobie cząstkę obrała.“ — Proszę zrozumieć: młodziuchna Natalcia, mająca wrodzony pociąg do oświecania się, mająca pociąg do wszystkiego, co wzniosłe i piękne, nie przylęgała sercem wcale do materyalizmu, lubo rączki drobne i delikatne nie wzdrygły się żadnej pracy w usłużeniu sobie, a nawet dobrym rodzicom, jak nazywała z pieszczot państwo Janów, a które to usługi nazywała drobnemi, najdrobniejszemi.

Już ostatnią książkę wkładała w kuferek, a pani Janowa ostatni kołnierzyk do pudła, gdy wszedł do pokoju wysokiego wzrostu mężczyzna, brunet, około lat trzydzieści liczący, a pozdrowiwszy panią Janową i Natalcię usiadł poufale na kanapie. Panience na widok tego rannego gościa łzy stanęły w pięknych czarnych oczach, wiedziała bowiem, iż ten tyloletni jej przyjaciel przychodzi ją pożegnać. Przymknąwszy szybko kuferek, poskoczyła z wyciągnionemi rękami do drogiego gościa, i chwyciwszy obiema jedną jego rękę, stała w milczeniu dopóty, dopóki łza z jej oka niespadła na rękaw jego sukni. Mężczyzna przybyły był dalekim krewnym p. Jana emeryta, miał on folwarczek o dwie mile od miasta, zajmował się gospodarstwem; lecz więcej literaturą klasyczną, którę nad nowoczesną przekładał. Poeta z natury, łagodny, ludzki, przytem surowych obyczajów, mający na podoręczu cytacye wielkich ludzi przeszłości, mędrców, które z różnych języków przytaczał, był chodzącą księgą mądrości, nie bez humoru prawdziwej wesołości, a nawet cierpkiej satyry. Religijny, jak z pierwszych chrześciaństwa wieków, bez fanatyzmu, był typem człowieka oświeconego w całem znaczeniu tego wyrazu, i można rzec, że Lucyan K. przedstawiał swą osobą ognisko 19go stólecia dla wiadomości i literatury. Pomimo zajęć gospodarskich, książka niewychodziła z jego rąk, oprócz pożytecznego czytania, ćwiczył się wciąż w językach z samego zamiłowania wiedzy. Był silnym jak atleta, a każde jego słowo, równie jak oddech i poruszenie, tchnęło życiem i zdrowiem ducha. Taki to człowiek, stojący na pewnym stopniu doskonałości duchowej, odwiedzając często swego krewnego, miał sposobność, bez własnego wyraźnego zamiaru nawet, wpłynąć najwięcej na wychowanie młodego dziewczęcia, wydobyć iskrę boską z jej duszy, zapalić ją ku wszelkiemu pięknu moralnemu; ku wiedzy, niezbędnej do szukania i znalezienia tego piękna. Jak ręka niegdyś pierwszych uczniów Chrystusa, kładziona na ramię wiernych, wyciskała piętno namaszczenia, tak osoba i słowo tego niepospolitego człowieka upoetyzowały Natalcię, namaściły pewną świętością, która nigdy już startą być nie miała. On to był przewodnikiem całej jej edukacyi, zamierzającej jej przyszłe szczęście. Teraz, gdy przychodziło pożegnać go, może na zawsze, uczuła żal głęboki, którym i przódy się już dręczyła, ale spokojny wyraz twarzy p. Lu-

cyana ułagodził ją, gdy już głośnym płaczem wybuchnąć miała. Wreszcie — gdy jej rzekł, że tylko nad błędami naszemi i bliźnich naszych żalić się powinniśmy, że z przeciwnościami całe życie walczyć nam należy—rozpogodziło się czoło dziewczęcia, a gdy jej nadto przypomniał jakie ma obowiązki do spełnienia w tem życiu względem siebie, rodziny i kraju, i że do niej pisywać będzie, i dawać krótkie, moralne nauki, wesołość humoru ożywiła ją zupełnie, bo słowa p. Lucyana były rozkazem działającym na jej ducha. Odczytała spokojnie list macochy pani Bolskiej, wzywającej ją na wieś, jako tam pozostać miała z staruszką szafarką, gdyż sama po ułatwieniu interesów pieniężnych, dla których szczególnie przybyła, wraca do Paryża lub do Rzymu na zimę z swoją córką Zofią.

— Widzisz panno Natalio, jakiego ci trzeba hartu— rzekł p. Lucyan, tłumiąc wzruszenie — abyś, samotna na wsi, niezapadła w zwątpienie, w nudę. Lecz, gdy już tak wypadnie, wskażę ci co masz robić, abyś uniknęła tej strasznej u nas epidemii, wypływającej z zastarzałej zgnilizny umysłów i serc: *próżnowania.*

Pojazd zatoczony przed bramę kamienicy, i służący wchodzący po rzeczy, przerwali dalszą rozmowę, po której najczulsze pożegnania rozdzieliły państwo Janów ze swoją wychowanką, która raz cicha, potulna, usłużna, drugi raz wesoła i szczebiotliwa, rozrywała ich wiek podeszły, przypominając im szczęśliwe chwile własnej ich młodości.

O miedzę od wsi Niedbałówki, w której hrabina Bolska, macocha Natalci, miała pałac niezgorszej architektury, i utrzymywany dość dobrze jak na zarząd plenipotenta, leżała wioska Przemysłówka z przyległemi trzema folwarkami, własność p. Kajetana Lipawskiego, szlachcica z dziadów pradziadów, kuzyna ś. p. pana Bolskiego, ojca Natalci, i jej chrzestnego ojca. Pan Kajetan, wdowiec bezdzietny od lat kilku, słynął w okolicy z wzorowego gospodarstwa, które umiejętnie i korzystnie prowadził, jak równie z poczciwości staropolskiej względem sąsiadów, domowników i włościan w jego wiosce zamieszkałych. Pomimo tych powszechnie przyznawanych mu zalet, kuzyna jego Bolska, tytułująca się po ojcu hrabiną, gdyż jej mąż wcale niebył hrabią, małe tylko nieznaczące stosunki utrzymywała z p. Kajetanem, raz, że ledwo w lat kilka przyjeżdżała z Paryża do Niedbałówki, powtóre, że p. Kajetan nie zajmował jej w towarzystwie, jako człowiek z innej sfery życia i zatrudnień, lubo ogładzony i oczytany, jednak domator i parafiańszczyzną trącący. Pan Kajetan, wiedząc dobrze o usposobieniu kuzynki, wcale nie nastręczał jej się, chociaż radby był nieraz pokierował interesami p. Hortensyi, które na takim już były schyłku, że kilka wiosek w najlepszej glebie chcieli dłużnicy zająć, i tylko plenipotent, biegły prawnik, wstrzymywał całą siłą ten ostateczny upadek swej pani.

Po przyjeździe Natalci do Niedbałówki, dowiedział się p. Kajetan, że p. Hortensya przysłała umyślnego posłańca, po jego pachciarza Jakóba Pinkesa, chcąc mu sprzedać w kopach pszenicę, — co mu się wcale podobać nie mogło i zawsze go niepokoiło, ilekroć mu na myśl przyszło. Pewnej chwili właśnie mu się ten ostateczny krok kuzynki znów przypomniał, gdy ujrzał w tem wchodzącego do pokoju już przez nas wspomnianego Izraelitę, po którego posłał dla rozmówienia się z nim w interesie hrabiny.

— Kłaniam wielmożnemu panu sąsiadowi — rzekł przybyły, gotów na rozkazy pańskie.

— Witaj sąsiedzie i usiądź sobie — rzekł p. Kajetan, wskazując mu krzesło.

— Dziękuję — odrzekł z ukłonem młody, pięknego oblicza Jakób, siadając na wskazanym krześle.

— Hrabina Hortensya z córką i siostrą od dwóch tygodni przybyły do Niedbałówki. Tą rażą jadąc z Paryża wstąpiły do wód w Ems, lecz tam niezabawiły ani miesiąca.

— Słyszałem o tem Wny sąsiedzie, jakoś prędko im się spieszyło do domu — mówił z szyderskim uśmiechem Jakób — dopiero mamy 20go lipca, najlepszy czas do wodnej kuracyi.

— Alboż która była z nich słabą? chyba hrabina cierpiała na nudy, i ciężyła jej para tysięcy reńskich—rzekł p. Kajetan, i wstał szybko ze stołka, potarł szerokie czoło i zagłębiony w myślach przeszedł się po pokoju. Zwrócił się znowu ku stołowi, przy którym dopiero co siedział i... stanąwszy przed Jakóbem, mówił z pewnym wyrazem uczucia: Ty wiesz Jakóbie, że hrabina Hortensya jest moją kuzynką z męża swojego, że córkę nieboszczyka p. Bolskiego trzymałem do chrztu, i że chciałbym się szczerze opiekować jej majątkiem, ale to osoba lekkomyślna, uparta, zarozumiała.

— Czem się Wny sąsiad będzie opiekować? tem, czego niema?

— Tem bardziej, tem bardziej nieść jej pomoc wypada. Nieboszczyk Bolski chciał wszelkiemi sposobami interesa swoje uporządkować, ale żona zawsze stała mu na przeszkodzie i zagryzł się nieborak.

— Zagryzł się, wiem o tem dobrze, a pani hrabina w świeżuteńkiej żałobie pojechała sobie za granicę.

Na te słowa Jakóba zmarszczył brwi p. Kajetan, lecz... powściągając się w niemiłej rozmowie, zagadł:

— Czy wiesz dla czego po ciebie posłałem?

— Czekam pokornie rozkazu.

— Podobno przysyłała po ciebie hrabina?

— Przysyłała umyślnie, chcąc mi sprzedać w kopach pszenicę.

— Przewidziałem, że się tak stanie, szkoda mojej chrzestnej dziewczyny.—Tu zastanowił się chwilkę i cicho wyrzekł do siebie: lecz ona ma we mnie opiekuna i ojca chrzestnego, bo to głupstwo wszystko... te rody, te herby, lubo i ona miała matkę także herbową jak i p. Hortensya.

— Ja tak samo twierdzę Wny sąsiedzie, pieniądz czysty echt, to państwo, to honor, to rozum nad rozumy.

— Ty Jakóbie twierdzisz po żydowsku, lecz ja ze stanowiska moralnego, chrześciańskiego. Chcieć pieniędzy dla pieniędzy jak żyd, to brud, to chciwość. Chcieć ich, jako środka dla dopięcia wyższych celów, pracować na nie uczciwie, oszczędzać je, to zaszczyt. Lecz nie gniewaj się za prawdę.

— Nic nie szkodzi, lecz niech Wny sąsiad osądzi, czy my co winni, że panowie tracą pieniądze, a potem udają się do żydów, obiecując lichwę, jakiej ci sami zapragną, byleby im pożyczyli. My się nie prosimy z pieniędzmi.

— Zapewne i teraz nieomieszkasz kupić w kopach od hrabiny tej pszenicy.

— Któżby nie korzystał, kiedy samo w ręce włazi.

— A ja żądam, żebyś nie kupował.

— Nie kupię ja, Jakób Pinkes, to kupi Icek, Herszle, lub dziesiąty, a kto mi zapłaci za stracony zysk najmniej 1000ca reńskich.

— Dam ci jałówkę holenderską dla twojej najstarszej córki.

— Wny sąsiad żartuje, jałówka za tysiąc reńskich.

— Jałówka i moja doświadczona przyjaźń. Trzymasz odemnie pacht, jak sam chcesz. Okoliczności sprzyjały i sprzyjają ci w mojej wsi, te zrobiły cię panem zna-

czenego majątku; śmiało możesz dla stósunków ze mną poświęcić jednokrotny zysk.

— Gdyby jednokrotny — odrzekł jąkając się nieco — a jak Wny sąsiad będzie żądał po mnie drugi i trzeci raz tego samego postępku.

— Daję ci moje słowo, że nie będę przeszkadzał twoim interesom, bylebyś nikogo nie oszukał.

— Obraża mnie Wny sąsiad, ja tylko pożyczam; handluję z tymi, co ze mną dobrowolnie w handel się wdają.

— No jałówka twoja, a interes z hrabiną mój.

— Niech i tak będzie, cóż mam robić? Wny sąsiad chce, Jakób Pinkes musi. Kłaniam nisko Wmu sąsiadowi — domawiając tych słów z nagięciem szerokiego grzbietu, oddalił się żyd pachciarz, i... wróciwszy do domu, wyprowadził z stajenki małego okrągłego konika, zaprzągł go do lekkiego wózka, i wziąwszy bicz w rękę ruszył bitym gościńcem do Niedbalówki, pół mili od Przemysłówki odległej.

Jechał nie w bardzo dobrym humorze, bo tysiąc reńskich, które spodziewał się zyskać, już z wróblami na dach uleciało. Z zwieszoną głową na piersi, jakby po najboleśniejszej stracie, jechał nie widząc nawet na gościńcu wyboju, który ominąć należało; dopiero, gdy mu koło weń wpadło, uczuł prawie nagłe wstrząśnienie i obejrzał się po za siebie, zamiast coby był miał patrzyć przed siebie. Już był w połowie drogi, zawsze z głową w jeden punkt ciążącą, jak planeta ku słońcu, gdy usłyszał wołanie:

— Panie Pinkes! panie Pinkes!

Zatrzymał na ten głos swego okrągłego konika i... obejrzawszy się niechętnie, rzekł głośno:

— Kto mnie woła?

— To ja, z dworu pani hrabiny, z Niedbalówki kucharz, czy mnie p. Pinkes niepoznaje.

— Czemu nie? jak się p. Żytniówka ma, a co tu pan porabia?

— Chodziłem po mięso, po masło, chleb, sól, do miasteczka; alem nic nie wskórał, bo jak wymiótł, wszyscy pojechali na jarmark do Sosnówki.

— To źle, a co panie będą jadły?

— Myślę, że będziemy mieć wszystko, skoro p. Pinkes do nas jedzie — te słowa rzekł p. Żytniówka z pewnym umizgiem, patrząc w oczy Pinkesowi.

— Może i nie do was — odrzekł żyd, i westchnął mimowolnie, wspomniawszy sobie zakaz p. Lipawskiego.

— Pioruńsko, pioruńsko u nas, coraz to gorzej, przyznam się, że mógłbym był co kupić, ale niechciano dać na kredyt, bo jeszcze dawniejsze kwitki niezapłacone.

— To źle, to źle niemieć pieniędzy, jeszcze takiej hrabinie. A wiele na dziś trzeba? — tu sięgnął po pulares.

— O łaskawco, o dobrodzieju! — komicznie wykrzyknął p. Żytniówka — kilka reńskich niech pan da, ja tam się wyrachuję, bo i herbaty i cukru nam braknie. Pinkes, obejźrawszy z wszystkich stron pięcioreńskowy papierek, wręczył go p. Żytniówce, pewnym będąc, iż gdyby mu hrabina przed wyjazdem do Paryża niezwróciła, przysłuży się tem ryzykiem p. Kajetanowi, który mu z wdzięcznością kapitał z procentem odda. P. Żytniówka uradowany, machając kapeluszem zacnemu, poczciwemu Izraelicie, nawrócił do miasteczka. Pinkes powolnym kłusem toczył swój wózek ku Niedbalówce, jadąc środkiem ugorów, samych ugorów, wyglądających smutnie, jak po szarańczy, lub po przejściu tatarskiej dziczy.

(C. d. n.)

Album Pisarzy i Artystów Polskich,

utworzone na pamiątkę tysiącletniej rocznicy

wstąpienia na tron Polski dynastyi Piastów

i pierwszych początków chrześciaństwa w Polsce.

Nie wdając się tymczasowo w żadne uczone wywody, czy i kiedy Piast żył, i na tron polski wstąpił, czy i kto byli aniołowie przepowiadający mu świetność jego rodu i kraju —

„wzywamy niniejszem bezzwłocznie, ponieważ czas nagli, wszystkich pisarzy i artystów polskich, którzy w przyszłym roku uczcić pragną tysiącletnią pamiątkę pierwszych zawiązków państwa polskiego, jako też chrześciaństwa w ziemiach niegdyś polskich — ażeby najdalej do końca bieżącego roku na ręce podpisanej redakcyi Tygodnika Poznańskiego franco nadesłać zechcieli swoje prace jako to: poezye, powieści, opisy, wspomnienia, rozprawy naukowe wszelkiego rodzaju, rysunki, fotografie rzeźb i budowli, muzyczne kompozycye, wraz z portretami i życiorysami swojemi, w celu utworzenia z nich zwyż oznaczonego albumu, z którego czysty dochód przeznacza się na pomnik dla Piasta, mający się niebawem bliżej oznaczyć przez komitet od Kółka posłów polskich w Berlinie na to mianowany.“

W swym czasie zostaną ogłoszone warunki prenumeraty na to dzieło. Z natury rzeczy wynika, iż prace doń wchodzić mające nie mogą być zbyt obszerne, a fotografie i rysunki (które za pomocą fotografii pomnażane być mają, gdyż do ich rytowania zbywa na czasie), nie mogą być zbyt wielkie lubo ze względu na cel, dla jakiego są przeznaczone, powinny być niepośledni, i mieć niewątpliwą naukową lub artystyczną wartość. Swoją treścią niepotrzebują się bynajmniej odnosić do wypadków, na których cześć są przeznaczone. Album to ma być in quarto majori. W razie potrzeby urządzi się dwa wydania, jedno więcej, drugie mniej przedmiotów zawierające.

Dla kontroli przesyłek będzie redakcya w swem piśmie umieszczała wiadomości o nadchodzących artykułach, wymieniając rodzaj pracy, jej autora i miejsce wysyłki. Otwiera także kolumny swego pisma dla dyskusyi względem urządzenia w mowie będącego albumu, pomnika dla Piasta i uroczystości tysiącletniej rocznicy.

Wszystkie pisma polskie upraszamy, ażeby tę naszą odezwę powtórzyć, rozpowszechniać i popierać raczyły.

Redaktor Dr *Kaźmierz Szulc.*

OBRAZY Z DZIEJÓW SZWAJCARSKICH.

(Podług Dumasa).

(Ciąg dalszy).

— Orałem, a w pługu chodziły dwa najpiękniejsze woły z mej obory; służalec Landenberga przechodząc zatrzymał się, i... zbliżywszy się do mego zaprzęgu, zawołał:

— Dla poddańczucha to za piękne woły, trzeba im zmienić pana!

— Te woły są moje, nie sprzedam, bo sam ich potrzebuję.

— A któżby ladaco jakieś od ciebie woły kupował! I dobył z zapasa nóż myśliwski i odciął zaprząg.

— A czemże ja robić będę w roli, gdy mi ten zaprząg weźmiesz?

— Takie chamy jak ty, mogą same ciągnąć pług, jeżeli im się chce chleba, którego żal się dla nich Boże!

— Rzekłem: jeszcze pora, odczep mnie się, wszystko ci zapomnę. Idź sobie z Bogiem. — On zapytał:

— Gdzież twój łuk, gdzież miecz? cóż ci zuchwalstwa dodaje?

— Stała nieopodal młoda drzewina, odłamałem gałąź. Patrzaj, rzekłem, oto broń moja, wystarczy ona.

— Ani krokiem, krzyknął na mnie, bo rozpłatam cię jak kozła.

— Sięgnął ręką ku jarzmu, pono go się nawet dotknął. Machnąłem kijem, a sługa Landenberga upadł, rękę mu złamałem.

— Dobrze się stało, święta sprawiedliwość — zawołali obadwaj.

— Nie żaluję też tego, co się stało — mówił dalej Melchtal — jednakże umknąć musiałem. Zostawiwszy woły na miejscu, sam błąkałem się cały dzień po lesie *Boestock;* gdy się noc rozpostarła, wspomniałem sobie na was czesny, poczciwy Walterze, przeprawiłem się przez Surchen i oto mię macie.

— A więc witaj nam Melchtalu — rzekł Walter Fürst, podając mu dłoń.

— Zdałoby się wysłać do Sernen jakiego przezornego człowieka — mówił młodzieniec — dla zwiadów, kto wie, co od wczoraj stać się mogło, jakiej zemsty Landenberg się ima?

W tej chwili dał się słyszeć chód ciężki, utrudzony, a następnie ktoś zapukał, mówiąc:

— Otwórzcie! jam Ruder.

Melchtal otworzył i rzucił się na szyję słudze ojca swego; lecz nagle cofnął się przelękniony, przypatrzywszy się jego bladości i pomięszaniu.

— Cóż to się tobie stało Ruderze? — zapytał Melchtal.

— Biada wam mój młody gospodarzu! biada krajowi, spoglądającemu obojętnie na straszliwe zbrodnie! biada mnie, który z tą wieścią tutaj przybyłem.

— Stój, stój! przecież na staruszka nikt się nie targnął! bo i któżby nie uszanował wieku, siwych włosów?

— Alboż oni co uszanują? dla nich nic niema świętego!

— Ruderze, mów! — ozwał się Melchtal, składając ręce jak do modlitwy.

— Pochwycili go, wybadywali gdziebyś był, a że biedny starzec niewiedział, wyłupili mu oczy!

Melchtal okropnie jęknął, Wernerowi i Walter Fürstowi wystąpił pot na czoło jak krople rosy; powstały im włosy, kiedy spojrzeli po sobie.

— Kłamiesz! — zawołał Melchtal, porywając Rudera za barki; kłamiesz! niepodobieństwo, ażeby ludzie dopuścili się takiej zbrodni, ty kłamiesz, przyznaj że kłamiesz!

— Niekłamię niestety! — odparł Ruder.

— Dla tego więc, żem uciekł jak podły, wyłupili mu oczy, powiadasz? że ojciec niechciał wydać syna, wydarli starcowi oczy, zakłuli żelezcem źrenice i to w dzień jasny, w obec słońca, w przytomności Boga, a góry nasze nie przywaliły ich, nasze jeziora nie wylały z brzegów ażeby ich zatopić, pioruny nie uderzyły z nieba aby ich zstrzaskać? Widać, mało im jeszcze naszych łez, więc nas krwią płakać zmuszają. Ach Boże mój, ulituj się nad nami! — Tak wołał Melchtal, i padł jak drzewo jednem cięciem powalone, tarzał się i gryzł ziemię.

Werner zbliżył się do Melchtala.

— Nie płacz jak dziecię, nie tarzaj się jak dzikie zwierzę, powstań jak człowiek Melchtalu, my pomścimy ojca twego.

— Młodzieniec podniósł się jednym rzutem, jak gdyby go sprężyna jaka na nogi postawiła.

— Powiedziałeś Wernerze, że go pomścimy!

— Pomścimy go — odrzekł Walter Fürst.

— Ach! — wykrzyknął Melchtal i zaśmiał się jak szalony.

W tej chwili melodia wesołej piosenki zabrzmiała w oddaleniu, i ujrzano człowieka na skręcie drogi, przy brzasku rozwidniającego się dnia.

— Wejdź do izby — rzekł Ruder do Melchtala.

— Pozostań — przerwał Walter Fürst — to przyjaciel.

— Który przydać nam się może — dodał Werner. Melchtal stroskany spoczął na ławie.

Nieznajomy tymczasem przybliżył się wnet; był to człowiek około lat czterdziestu mający, na sobie miał odzież brunatną po kolana, niby zakonną, niby świecką; jednakże długie włosy jego, podstrzyżone wąsy i broda jak u wolnych mieszczan, świadczyły, że mógł tylko pośrednio do klasztoru należeć. Ruchy jego zdradzały raczej żołnierza niż mnicha, i łatwoby go wziąść za wojaka, gdyby przy pasie swoim zamiast szpady nie miał uwieszonego kałamarza, a w kołczanie, próżnym strzał, pargaminu i piór. Zresztą ubiór jego uzupełniały obcisłe spodnie z niebieskiego sukna, ciżmy sznurowane wysoko i kij okuty, nieodstępny towarzysz górala w podróży.

Dojrzawszy stojących u wrót, przestał śpiewać i zbliżył się z pogodnem obliczem, z jakiem się zbliżamy do znajomych. Jeszcze był od nich o kilka kroków, gdy Walter Fürst zawołał:

— Witamy cię Wilhelmie, dokąd dążysz tak wcześnie?

— Niechaj będzie Chrystus pochwalony! Jak się macie Walterze? Idę odebrać należytość z klasztoru Fraumünster w Zurychu, przecież wiecie, że jestem poborcą.

— A niemógłbyś zatrzymać się z nami na chwilę.

— Dla czego?

— Dla posłuchania, co ci ten młodzieniec opowie.

Nieznajomy zwrócił się ku Melchtalowi, a obaczywszy go płaczącego, zbliżył się ku niemu, i podając mu rękę, rzekł:

— Bracie, niechaj Bóg łzy twoje osuszy.

— Niechaj Bóg pomści krew! — odrzekł Melchtal, i opowiedział mu nieszczęśliwe zdarzenie.

Wilhelm wysłuchał opowiadania z wielkiem współczuciem i głębokim smutkiem.

— I cóż przedsięwziąłeś? — zapytał Wilhelm, gdy Melchtal skończył opowiadanie.

— Zemścić się i ziemię naszą wyzwolić! — wykrzyknęli wszyscy z zapałem.

— Bóg zastrzegł sobie samemu zemstę zbrodni na zbrodniarzach, i zastrsegł sobie wyswobodzanie narodów — rzekł Wilhelm.

— A nam biednym ludziom cóż pozostawił?

— Modlitwę żarliwą i zdanie się na świętą wolę Opatrzności Jego.

— Wilhelmie! nie tak przystoi mówić dzielnemu łucznikowi, ty napominasz nas po mniszemu, nas, mówiących po męzku, po obywatelsku.

— Bóg stworzył góry dla rogaczy i danieli, a daniela i rogacza dla człowieka, dla tego też opatrzył lekkością zwierzynę, a myśliwego bacznością i zręcznością. Mianując mnie walecznym łucznikiem, pomyliłeś się Walterze Fürstcie, jam tylko ubogi strzelec.

— Bywaj zdrów Wilhelmie, niech cię Bóg prowadzi.

— Niechaj Bóg będzie z wami bracia.

Wilhelm odszedł. Wszyscy trzej patrzyli za nim w milczeniu, dopóki im nie zniknął na najbliższym skręcie drogi z przed oczu.

— Nie trzeba liczyć na niego — rzekł Werner Stauffacher — a jednakże byłby to dla nas wielkiej wagi sprzymierzeniec.

— Bóg porucza nam samym wyswobodzenie naszego kraju. Chwała mu i cześć na wysokości!

— I kiedyż zabierzem się do dzieła — rzekł Melchtal? Mnie pilno, bo mi oczy wypłyną za oczyma ojca mego, które krwią wypłynęły.

— Każdy z nas jest z innej gminy, ty Wernerze ze Szwitzu, ty Melchtalu z Unterwaldenu, a ja z Uri. Wybierzmy każdy z pomiędzy przyjaciół naszych dziesięciu ludzi, na których z pewnością można liczyć; połączmy się z nimi w Grutli...

— W Bożej mocy wszystko, bądź wola Boża! a jeżeli pójdziemy Pańskiemi drogami, za Bożym głosem, to we trzydziestu ludzi będziem potężnym zastępem.

— Kiedyż więc połączymy się? — zapytał Melchtal.

— W nocy z niedzieli na poniedziałek — odpowiedział Walter Fürst.

— Zgoda, zgoda! stawimy się, — rzekli Werner i Melchtal.

Trzej przyjaciele pożegnali się z sobą do przyszłej niedzieli. *(C. d. n.)*

TEATR.

Towarzystwo artystów lwowskich przedstawiło d. 22go lipca komedyą 4ro aktową Aleksandra Fredry pod tyt.: *Zemsta*. Mieliśmy przyjemność w tejże powitać drugiego współdyrektora, scenie narodowej bardzo zasłużonego Smochowskiego, w Milczku występującego. Dyr. Nowakowski w Raptusiewiczu zajmował, jak zajmuje zawsze w rolach dawnych Polaków, a p. Maleszewski nauczył nas w właściwem świetle pojmować rolę Papkina. Dnia 24 lipca przedstawiło toż tow. Szyllerowską tragiedyą *Intryga i Miłość* (Kabale und Liebe), a w tej znowu z wyszczególnieniem się odegrali swoje role dyr. Nowakowski (Müllera) Maleszewski (sekretarza Wurma). Pani Nowakowska (synowa) odegrała obiecująco rolę Lujzy.

Projekt Instytutu Rolniczego dla Kobiet.

Korespondent paryski do *Gazety Polskiej* w Warszawie mówi między innemi, że mu pod powyższym tytułem wpadła broszura pod rękę, której „autor, człowiek zacny i znakomicie wykształcony, chce, aby rząd otworzył zakład praktyczny na wzór teoretycznego Instytutu cesarskiego dla panien w St Denis. Zakład ten takby się miał do Instytutu w St. Denis, jak się ma szkoła centralna Sztuk i Rzemiosł do Szkoły politechnicznej).

Młodzież mieszczańska we Francyi zaczyna pojmować, że nie podobna wszystkim kształcić się na urzędników, na lekarzy, na adwokatów, ba nawet na przemyślników? Wykształcenie nie przeszkadza poświęcać się zaniedbanemu dotąd rolnictwu (zaniedbanemu we Francyi, cóż u nas?), i owszem biegły agronom wszędzie odniesie zwycięztwo nad rutynistą i... co więcej, znajdzie dla siebie na wsi warunki życia, jakich i każdy mieszczanin słusznie będzie mógł mu pozazdrościć.

Młodzież, na tej drodze kierująca swoje usiłowania, potrzebuje godnych siebie towarzyszek. W przedsiębiorstwach rolniczych udział kobiety jest ważną rękojmią powodzenia. We Francyi jednak (a u nas?) trudno o kobiety, w których wychowanie wykształciłoby, oprócz praktycznych wiadomości, nauki i talenta, uprzyjemniające pożycie w wiejskiej zaciszy.

Projekt, o którym mowa, pragnie zapobiedz niedostatkowi. Zakład ma przyjmować panienki, mające najmniej czternaście lat i oznajmione z pierwszemi zasadami (?) średniego wychowania, mianowicie z literaturą, historyą, muzyką. Ze swojej strony Instytut otworzy kurs powszechnego rolnictwa, zastósowanego do obowiązków gospodyni. Szczepienie drzew, ogrodnictwo, botanika, nauki przyrodzone, rachunkowość wiejska, i dalszy ciąg literatury i nauk moralnych, uzupełniają ogólny plan. Spiżarnia i kuchnia staną się również przedmiotem wykładów i doświadczeń; kuchnia podwójna: pospolita i zbytkowa, w świątecznych bowiem dniach, lub na rodzinnych uroczystościach i zjazdach gospodyni sama winna przewodniczyć przyjęciu. Odzież codzienna ma być skromna, prosta i zastósowana do życia czujnego; w niedziele, w święta, wolno będzie każdej uczennicy przywdziewać najwdzięczniejsze stroje, pod warunkiem jednak, że każdą suknię i stroiki sporządzi własnemi rękami— która nie potrafi sama dać sobie rady, ta pozostanie na święto w powszedniem odzieniu.

Roczna opłata ma nie przenosić 600 franków (= 315 zł. a. w. = 1,260 złp). Rządowe fundusze przyjdą w pomoc pierwszym początkom i pomyślności zakładu.

Cesarz Napoleon zabrał z sobą projekt do Vichy. Myśl wielce mu się uśmiecha, radby szczerze urzeczywistnić ją i rozwinąć na szerokie rozmiary; ale Instytut agronomiczny dla kobiet wymaga znacznego wykładu pieniężnych zasobów . . . .“

Wdzięczność włościańska.

* We wsi Sielcu, obw. żółkiewskiego, włościanin Iwan Skawron przyszedł do dworu z żoną swą Praksedą, i prosił dziedziczki, pani A. Kłodzińskiej, by mu wolno było odprawiać nabożeństwo na wieczne czasy za duszę jej męża ś. p. Adama (przed nie wielu laty dyrektora Zakładu narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie). Jako powód do tego wyraził prostemi słowy, że nieboszczyk ratował ich w różnych nieszczęściach gospodarskich, i że od tego czasu oni z wielkiej biedy zaczęli przychodzić do lepszego bytu, że teraz im się dobrze powodzi. Nie mogąc się wywdzięczyć żyjącemu, chcą przynajmniej modlić się za jego duszę do Boga, i by pamięć dobrodzieja zachować na wieczne czasy, chcą te modlitwy przekazać swoim dzieciom, wnukom i prawnukom, by się odbywały rok rocznie. Łatwo pojąć, że wdowa przyjęła sercem ofiarę z serca pochodzącą. Nabożeństwo odbyło się z całą uroczystością w cerkwi sieleckiej, po czem udał się proboszcz tamtejszy obrz. gr. k., ks. Józef Szajdzicki, do mieszkania poczciwego wieśniaka, i poświęcił dom jego, całe gospodarstwo i dobytek. Na ten akt uroczysty zaprosił gospodarz dziedziczkę, i poczciwi ludziska wystąpili z gościnnością prawdziwie słowiańską, płynącą z serca. Proboszcz powiedział na zakończenie piękną mowę, w której podniósł wdzięczność jako główną cnotę, a... zachęcając lud do tej cnoty, zwracał jego uwagę na stosunek tak bliski z tymi, z którymi żyją ciągle, i którzy im już przez swoje położenie idą tak często w pomoc radą i uczynkiem.

D. P.

Pisma humorystyczne.

Pod tym nadpisem zamieściła *Gazeta Polska* Kraszewskiego artykulik, w którym twierdzi, że pismo formy humorystycznej, ale treści bardzo poważnej, jest koniecznością chwili. Mówi artykulik, że pisma takiego braknie nam do ogólnej harmonii pism peryodycznych, że nie trudno byłoby o takie u nas, u których tyle dowcipu chodzi po ulicy, tyle go ulatuje z dymem cygar po salonach, tyle strzela z korkami szampańskiego wina (którego pono, powiem tu nawiasem, nie z dowcipu za wiele i za często używamy) . . . Tam gdzie kazanie nie na wiele się przyda, prawi dalej artykulik, gdzie moralizowanie przechodzi owiane ciszą mrożącą, gdzie patetyczne wykrzyki rozpływają się w powietrzu, któż wie? możeby ostre, dowcipne słówko trafiło do celu . . .

Artykulik żąda pisma humorystycznego nie z wesołości i nie dla tejże, żąda go z innych, wielce poważnych powodów, których nie wymienił jednakże. Powiada: „nie wszystko wesołe, co śmieszne . . . żart bywa gorzki, ale w jego goryczy kryje się siła lekarska.“ Kończy się artykulik słowami: „Prawda, że biorąc się do leczenia trzeba wiele odwagi i rezygnacyi; ale na tych cnotach nam nie zbywało nigdy.“

Śmiałbym dodać, że z wymienionemi cnotami pisarze humorystyczni powinni jeszcze połączyć cnotę jawności, rozwagi, i koniecznie cnotę surowej i tej samej sprawiedliwości dla siebie, co i dla drugich.

Kamień pamiątkowy Lelewela, umieszczono temi dniami w Brukseli, w fasadzie domu 58, przy ulicy des Eperroniers, gdzie przez długie lata mieszkał nasz wielki ziomek.

Nie osobliwa Pobudka.

Żartujesz? — Nie żartuję. — A cóż robisz przecie? —
Źle mi, więc chciałbym spłatać co złego na świecie.

Sprostowanie:
Nr 29, str. 231, szp. 1, wiersz 10, zamiast: pomogło, czytaj: mogło.

Załączamy mody paryskie dla prenumerujących na nie.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**